

Jutro święto ma być, narodowe. Tak. W radiu mówili, że to okazja jakaś do dumy i przemyśleń, chyba. Dzieciaki będą więc szaleć po ulicy, dorośli pojedą na zakupy, Pan Tadek, Filipek jeden, włoży mundur z kwiatkiem, a Pan Lucjan z rana pójdzie do Pana Edzia. Pamiętam, bo tak był roku przeszłego. I flagi wszyscy jeszcze wywieszają w oknach. A, no i harcerze, choć już na palcach u jednej ręki można by ich policzyć, położą kwiaty pod pomnikiem Marszałka. Zanucą hymn, za ręce się złapią, a potem rozejdą, jak zwykle. Poszłabym jakby sił nie brakło i popatrzyła na te ich śpiewy. No, chyba, że ten na cokole, już nie jest marszałkiem. Bo to możliwe. Wtedy to już nie wiem czy kwiaty położą i czy iść by warto.

Pamiętam jak to jeszcze przed paru laty tłumy się zbierały, orkiestra grała i burmistrz nawet raczył się pokazać. Rzekł słów kilka o dobrze narodowym i o tych, którzy polegli w obronie ojczyzny i takie tam. Że to niby walczyli kiedyś, na wojnach i pod rozbiorami. Dziś nikogo to już chyba jednak nie interesuje. Burmistrz wino wypije z radnymi, wedle tych nowych zwyczajów, a orkiestra dawno już rozwiązana bo zabrakło pieniędzy w budżecie, czy czym innym takim. Grać i gadać więc już nie ma komu. Ach, no i byłabym zapomniana, tłumów to też już nie ma. Bo nie dość, że wszyscy powymierali, to jeszcze tylko by się zanudzili i pomarzli. A tak lepiej flaga w oknie i obiad w domu, czy gdzie indziej nawet.

Ja to wiem, że narzekanie nic nie da. Świat się przecie dla mnie już nie zmieni. Ludzie są jacy są - inni po prostu, chyba. Czasem tylko chciałoby się pogadać z kim, ale strach odezwać, bo ja nie wiem nawet co powiedzieć. Patrę na plamę na suficie i myślę, żeby tak Pana Lucjana poprosić, jak trzeźwy, wszak on kiedyś za tynkarza robił. I dobrze robił, domy do dziś stoją. Tyle, że ja go niepijanego (trzeźwego) ostatnio nie widziałam. Podobno żona mu umarła, z biedy. Dzieciaki w świecie dawno już, to i samej z pijakiem się żyć jej nie chciało. A, że on i pracę dobre parę lat temu stracił, jak to ceramikę wywieźli gdzie dalej, to nic tylko pił i pił. A jak umarła, to jeszcze więcej. Chyba z żalu, chociaż nie wiem. Też kiedyś odejdzie, bo mu alkohol wreszcie serce złamie.

Iść będzie zaraz pewno, bo i wieczór się zbliża, to zobaczę czy rozmowny w ogóle. Bo wczoraj, wczoraj to ledwo sił miał żeby "dobranoc szanownej pani" powiedzieć, jak tak się toczył po drodze. Bidak taki, żałośnik jeden.

Patrę przez okno. Znowu sroki, nędznice, się dobierają do szaraka biednego. Dziobną, skubną, odlecą i przylecą. Biedak jeden nawet nie wie gdzie się schować, więc tak chodzi po parapecie, w tą i z powrotem. Ja bym mu powiedziała, żeby poleciał gdzie indziej, ale on uszy ma za małe, a ja krzyczeć nie mogę. Tak, bo przecież szaraki są jak ludzie. Nie zawsze wiedzą co robić, więc trzeba by im drogę pokazać, tylko nie zawsze jest komu.

Czego on mały taki tak tu szuka co dzień? Siedzi przy oknie, siedzi i tylko spogląda jako tak na mnie, czy nie na mnie. Zdałoby się, że powiedzieć coś musi, jakby chciał, ale to tylko ptaszek jest przecież. Więc nic nie mówi. Słucha mojego biadolenia i uśmiecha czasem, chyba.

Oj, pójdę ja już lepiej pacierze odmówić. Słonko niedługo zajdzie, a jeszcze miałam w piecu napalić, inaczej znów zmarznę w kościach. Pan Lucjan już pewno iść nie będzie. Umarł albo śpi gdzie przy drodze.

Myślę, żeby tylko drwa starczyło do wiosny, która jak to w radiu mówili, później ma nadejść w tym roku. I żeby jakoś tak szybko upłynęła ta zima, bo przecież dwa razy młodzi nie przyjadą do mnie, żeby mi na opał czego dowieźć.

Tamoj kiedyś mieszkała moja ciotka, Zośka. Tam, na końcu drogi obok fabryki. To znaczy kiedyś fabryki to tam nie było, tylko pole. Mieszkała sama, bez dzieci, czy wnuków, w takiej małej chałupince, mniejszej nawet od mojej, a w izbie to oprócz łóżka i piecyka miała tylko obrazek najświętszego Jezusa, który sobie wisiał na ścianie. Modliła się do niego dni całe, gdy już sił brakło, żeby do kościoła pójść, a odwagi nie miała by prosić księdza o wizytę w jej domu, bo to przecież u spowiedzi nie była od lat już

kilku i ta chałupina jej taka skromna i wstyd by zapraszać. Prosiła więc Pana Jezusa, by ją zbawił i wybaczył i dał umrzeć kiedy bez bólu.

I tak przesiadywała sobie na łóżku, z różańcem w ręku, szepcząc w myślach swe koronki i pacierze. Od czasu do czasu tylko, ubrana w najpiękniejszą, choć jedyną sukienkę z bistoru, wychodziła przed dom i patrzyła na to właśnie pole, którego już nie ma, i na te samotne wierzby i brzozy. Patrzyła i łyzy jej ciekły po policzkach. Stara kobieta, tyle w życiu widziała, a płakała jako dziecko małe. Kryła się z tym co prawda, bo jak odwiedzałam ją, to tylko wycierała nos w chustkę i cicho uśmiechała. Zawsze mało mówiła, mało, a gdy wreszcie ją Jezus przygarnął do siebie i dom jej stał już pusty, mówiła jeszcze mniej. Wkrótce po jej śmierci, dom popadł w kompletną ruinę, dach się zapadł, a ściany pochyliły ku sobie, niby zmęczone takim beczynnym stanem. Pole zajęły urzędy, żeby później sprzedać miastowemu jakiemu, który w niedługim czasie postawił tam fabrykę, gdzie pracę znalazło pół miasteczka i okoliczne wsie. I choć przez te ponad pół wieku jakie już upłynęło łyzy ciotki Zośki zapomniane dawno wsiąkły w suchą ziemię, fabryka nadal stoi, tylko o pracę dziś jakby ciężiej.

Przeszłość

Umarłam i byliby mnie pochowali, gdybym się nie zbudziła w kościele. Leżałam tak podobno w trumnie, jako to leżą nieżywi tacy, co to ich już ich do ziemi ciągnie. W suknie mnie ładną taką opatulili, czarną w białe grochy i buty, ładne pantofle chyba nawet nowe. Ludzie patrzyli i nie płakali wcale, tylko modlili, a tu nagle ja się podniosłam, jakby tak ze snu, czy z jawy jakiej i rozejrzałam dookoła. Tyle, że ja nic nie pamiętam z tego i mówię, tylko to o czym słyszałam i co na tej jednej fotografii uchwycili, bo to podobno później ślub miał być czyjś, więc i fotograf był. Jakie to ja miałam oczy, takie nieobecne jakieś i blada taka byłam. Syn mój podszedł do mnie, dotknął mojej dłoni, zimnej podobno takiej, i uśmiechnął się niewyraźnie. Coś tam szeptał, tylko ja już mówiłam, że nic nie zapamiętała. Ale dobre chyba rzeczy mówił, bo złe to siedzą długo w człowieku i ciężko je z pamięci wyrzucić.

Później, jak już wróciłam do domu, spać tylko chciałam, bo to tak jakoś inaczej śpi się, jak się jest pośród żywych. Lepiej chyba i sny ładniejsze jakby.

Współczesność

A jednak, przyjechali. Ktoś im chyba powiedział, że ja tu sama siedzę, bo wpadli tak nagle, uśmiechnęli się, zapytali czy mi dobrze i jak się czuję. A jak kiwnęłam głową, to się z radości za ręce złapali, położyli na stole w kuchni pudełko czekoladek i pojechali. Ale ja czekoladek jeść nie mogę, bo mnie zęby bołą. Nie wiem, może dla dzieci miały być, ale one nie chciały, więc dla mnie przywieźli? Dobrze, że jeszcze o mnie nie zapomnieli całkiem. Bo jak mnie tu samej siedzieć, to tak coś w środku ścisła.

A jacy oni piękni są. W garniturze i sukience takiej w kwiaty. I samochód mają własny – wiem bo widziałam jak przyjechali. Tylko dzieci nie było. W szkole może? Uczyć się trzeba, bo jak chcą być jak rodzice, to ich ciężka praca czeka. Więc to i chyba dobrze, że sami przyjechali. Tylko szkoda, że tak mało mówili. Jak chciałam coś powiedzieć, to prosili, żebym się nie przemęczała, bo w moim wieku to trzeba uważać. Na chore serce, czy coś tam, chyba. Żeby to oni widzieli moją babkę jak na rowerze jeździła do kościoła w tym wieku. Nie straszna jej była żadna, ale to żadna pogoda i nawet jak deszcz padał to jechała na kółko różańcowe. Tak było.

Jak już wsiadali do samochodu, podeszłam do okna i tak sobie wyglądałam zza firanki. Ona kryła twarz w dłoniach, a on mówił coś głośno i machał rękoma. Zamknął mocno drzwi, a one omal się nie wyrwały z zawiasów. Takie czerwone. Uderzył zaciśniętą pięścią w kierownik. Chyba się zdenerwował czymś, nie wiem. Pamiętam, jak kiedyś przyjeżdżał z rodzicami jako taki brzdąc mały jeszcze, strachliwy. Siadał u mnie na kolanach i chciał tylko, bym mu bajki opowiadała. A teraz, dorosły mężczyzna już. I taki

przystojny i żonę ma taką ładną i mądrą.
Ach jak dobrze, że o mnie całkiem nie zapomnieli.

Już tak sobie myślę, że zima tego roku będzie chyba surowa. Wczoraj, jak tak sobie siedziałam, podleciał do okna mały ptaszek. Z początku pewna byłam, że to mój nieśmiały przyjaciel szarak, ten co to go wszystkie sroki w mieście nie lubią, ale nie, brzusek taki biały i brązowo czarne skrzydełka - poznałam, to śnieguła. Taki urwis, który to biega po śniegu jak mała nakręcona zabawka. A jako ona już jest, to i zima będzie.

No, ale bać się już tej zimy nie boję. Drwa dużo, powinno starczyć z zapasem, to i nie zmarznę nadto. Pierzynę sobie cieplejszą przygotowałam i uprzednio szczelinę przy parapecie przysłoniłam ścierką. I teraz to już może dziad z Rosji przychodzić siarczysty nawet, a ja i tak dam mu radę.

Przeszłość

Jak już umarł małżonek mój, zostałam w tym domu sama z dwiema jego siostrami, które przeprowadziły się jeszcze przed jego śmiercią, żeby pocieszać mnie w żałobie. Siedziały w kuchni przy piecu dni całe i biadoliły tylko o wszystkim jak dwie stare kwoki. Nogi z drewniaków wyciągały i tak je sobie trzymały na wierzchu, a, że myły je tylko od święta, to śmierdziało po izbie całej. Wychodziłam wtedy przed dom i patrzyłam na drogę.

Teraz tak sobie myślę, że albo to i dlatego przyszły, że u nich w domu dzieci już swoje rodziny pozakładały i one nie miały się gdzie podziać. Sama nie wiem, nie do końca pamiętam. Coś słyszałam, ale nie to mi było na głowie. Żyło nam się jakoś, nie narzekałam, a bo i po co.

Spaliśmy wszystkie w jednym łóżku, bo już nie było miejsca, żeby gdzie indziej posłać, ale to i dobrze, bo w zimie i bliżej jesieni cieplej zawsze, jak się obok ma coś, czy kogoś. Chrapały, to spać nie mogłam, ale sobie wtedy myślałam o czym innym i jakoś ta nocka mijała.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

zar mar, dodano 29.03.2009 12:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.